

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

12

Walentyna także stała się trochę śmielszą. Ta widoczna zmiana w Piotrze napędzała ją otuchą. Znajdowała, że on jest obecnie mniej podobny do Filipa.

Pewnego czwartku przybyła niespodzianie. Był to dzień odwiedzin Filipa i Walentyna wiedziała o tem. Chciała porównać obu młodzieńców, aby się upewnić, że przemiana, dokonywająca się w Piotrze, nie jest li tylko złudzeniem jej wyobraźni.

Zastała panią Givreuse samą. Hrabina była niezwykle wesoła i zadowolona, sama nie zdając sobie sprawy z przyczyny.

Zadowolenie to w rzeczywistości miało źródło w przybyciu Filipa. Pani Givreuse lubiła ich mieć obu przy sobie i choć nie przyznawała się do tego przed nikim, w głębi serca darzyła ich prawie jednakiem uczuciem.

— Dzień dobry, mała — przywitała Walentynę. — Mamy dzisiaj gości...

Nie zauważyła, że postacią Walentyny wstrząsnęło jakby drżenie.

— Gościa, którego już dość dawno nie widziałaś...

Gdy Piotr i Filip ukazali się, podobieństwo ich wydało się Walentynie w pierwszej chwili znowu rozpaczliwem.

Kiedy jednak przyjrzała się mu lepiej, uśmiech pojawił się na jej wargach.

Filip miał cerę bardziej ogorzałą niż Piotr i z rysów jego twarzy wyzierało więcej energii i stanowczości. Oczy stały się jakby jaśniejsze i nabrały wyrazu śmiałości.

Zrenice Piotra płonęły wewnętrzną gorączką, usta miały wyraz miękkiej, niezdeterminowanej, marzycielskiej.

Walentyna nie zapytała serca, który się jej więcej podoba. Na razie wystarczało jej to, że wybór pomiędzy nimi jest wogóle możliwy.

I opuścił ją ten dziwny, niewytłomaczony lęk, który dotychczas, myśląc o Piotrze i Filipie, odczuwała zawsze.

W jakiś czas później Walentyna spotkała znowu obu młodzieńców, tym razem przypadkowo, u Augustyna Rougeterre. Wydało się jej, ku wielkiej uciechy, że różnice pomiędzy Piotrem a Filipem zaznaczyły się jeszcze silniej.

Po podwieczorku pani Givreuse i hrabia Augustyn zasiedli do szachów, a młodzi poszli w stronę stawu, zarosłego sitowiem i fatarakiem. Wszyscy troje lubili to miejsce, gdzie dawniej nieraz mile spędzali chwilę.

— Pamięta pan — zagadnęła nagle Walentyna, pilnie obserwując swoich towarzyszy — tę wiewiórkę, która nas tak przestraszyła swoim niespodziewanym skokiem?... Wtedy, w jesieni.

Pierwsze słowa ostrzegły Filipa. Zachował obojętny wyraz twarzy, natomiast Piotr odrzekł: — Nie widzieliśmy jej już więcej!... Widocznie my wystraszyliśmy ją...

Walentyna uśmiechnęła się lekko, ale z wielkiem wewnętrznym zadowoleniem. Oczy jej spotkały się ze spojrzeniem Piotra. I w tem spojrzeniu wyczytała tyle niepokoju, taką prośbą niemą a gorącą, że spłonęła rumieńcem i powiedziała sobie:

— Ten cierpiałby więcej!...

Piotr postanowił pomówić z Filipem. Pewnego razu, kiedy ten przyjechał, jak zwykle, do zamku, Piotr zapytał nagle:

— Czyś ty bardzo nieszcześliwy?

— Nie wiem. Żyje... Życie moje nie jest brzydkie... Nauczyłem się wiele...

Piotr uczuł, że nie wie, od czego zacząć zwierzenie, jakie chciał uczynić Filipowi. Był to nowy dowód zaszytych w nich obu przeciwieństw. Niedawno jeszcze w ten sposób przemawiał do Filipa, jakby mówił sam do siebie.

Nareszcie rzekł:

— Czy może chciałbyś skrócić twą próbę?

— Nie, nie! — odparł żywo tamten. — To jest koniecznie potrzebne.

— Ale ja jestem uprzywilejowanym.

— Tak być musi.

— Jeżeli jednak... — Piotr usiłował zapanaować nad zmieszaniem — jeżeli Walentyna wybrałaby mnie?...

Filip spojrzał uważnie na niego, uderzony szczególną infonacją głosu.

— Nie mamy prawa sprzeciwiać się woli Walentyny.

— Niezawodnie. Pomyśl jednak, jakie skutki...

— Trudno. Jeśli musi nas być dwóch... Właśnie ze względu na Walentynę ta rozłąka była nieunikniona. I cokolwiek stanie się, ja nie będę się żalił...

— Chcesz się poświęcić?

— Poświęcić?... Nie! Wszak to sam los zdecydował, że ja mam się usunąć.

— Moglibyśmy wyrzec się jej obaj...

— Poco?... Czy to zmniejszyłoby nasze cierpienie, naszą rozterkę... A dla niej... dla Walentyny byłoby to może bolesne rozczarowanie. Jeżeli ona wybierze ciebie, ja się temu poddam bez buntu.

— Będziesz cierpieć bardzo.

— Bez wątpienia. Ale nauczyłem się cierpieć. Codziennie przyzwyczajam się do tego cierpienia.

Piotr czuł głuchy ból w duszy swego sobowtóra, kryjący się poza temi, pełnemi słoicyzmu słowami. A choć cierpiał jeszcze jego cierpieniem pojął jednak, że duchowe ich życie zaczyna się rozdzielać...

— Zapomniałem — rzekł po chwili Piotr — pokazać ci to. Dostałem to dzisiaj rano...

Wyjął z portfelu bilet w kopercie i podał towarzyszowi.

Filip przeczytał:

„Drogi przyjacielu!

Mam zamiar niedługo udać się w podróż dość daleką. Może zechcesz pan pożegnać się ze mną.

Najserdeczniejsze pozdrowienie

od Teresy Lisanges“.

Ten bilet zainteresował Filipa.

— Oczywiście niepodobna, abym tam pojechał — zauważył Piotr.

— Zatem ja pojedę — rzekł Filip.

Piotr spojrzał na niego niepewnie.

— Pod twojem nowem nazwiskiem?

— Oczywiście... i z posłannictwem od ciebie.

— Ona pomyśli, że to...

— Wytłomaczę jej. Przeczuję, że ona musi już coś wiedzieć...

Filip udał się nazajutrz do Glaieuls, gdzie przebywała Teresa Lisanges. Glaieuls był to niewielki dwór wiejski, cały zatopiony w zieleni sadów.

Służąca wprowadziła gościa do salonu, zastawionego starymi, normandzkimi meblami.

Po chwili na progu ukazała się młoda kobieta, wysoka i silnie zbudowana. Od całej jej postaci wiał jakiś drażniący urtek. Lekki obłok pudru przesłaniał pleć śniadą, jak u Katalonki lub Hiszpano-Amerykanki.

Wargi pełne, wydatne, lśniły mocnym szkarłatem krwi.

Oczy rozmarzone, a jednak trochę ironiczne, czarne były jak węgle, a niekiedy miały połyski topazu.

Idąc przeginała się lekko.

Młoda kobieta utkwiła w Filipie spojrzenie, w którym zamigotał ogień filuterny.

— Pan Piotr...

— O! nie... — odpowiedział z uśmiechem, choć nieco blady — ja nie jestem Piotrem de Givreuse.

Twarz kobiety znieruchomiała na chwilę w osłupieniu.

Mówiono mi! — zawołała wreszcie — ale nie chciałam wierzyć.

Z popiołów przeszłości strzeliła gorąca iskra, ostatnie wspomnienie miłości szalonej a krótkotrwałej. Ale teraz stłumiła ją pożerająca ciemność.

— Nic podobnego nie widziałam nigdy!... — podjęła — nie przypuszczałam nawet, żeby to mogło być możliwe... I głos nawet!... A głos bardziej wiernem jest świadectwem niż twarz. I sposób mówienia... Ależ to żart chyba!

— Nazywam się Filip Frémeuse pani.

— Muszę wierzyć — westchnęła z dziwnym nieco uśmiechem — tylko w takim razie pan nie jest tym...

Zawahała się.

— Nie jestem tym, którego pani oczekiwała — podchwycił jej myśl Filip — lecz Piotr nie mógł stawić się na wezwanie.

Twarz jej stała się chłodną i twardą w wyrazie.

— Nie rozumiem — powiedziała sucho.

Filip przygotowany był na tę zmianę usposobienia.

— Piotr polecił mi, abym go wytłomaczył... On w tej chwili... on żałuje bardzo...

Jakaś się i gmatwał, nie wiedząc, czem usprawiedliwić swoje przybycie.

Teresa uśmiechnęła się znowu ironicznie i zagadkowo. Sytuacja zaczynała ją zaciękać i podniecać. Ten człowiek, tak niezwykle podobny do Piotra, przypominał jej przeszłość, a jednocześnie budził jakieś nowe, drażniące wzruszenia.

— Dobrze, dobrze — przerwała. — Nie jestem bynajmniej ciekawa przyczyn, które Piotrowi Givreuse nie pozwoliły odwiedzić mnie. Co zaś do pana, to wybaczam panu pańską niezwykłą wizytę. Proszę, niech pan siądzie.

Mówiąc to, sama usiadła w ciężkim, gotyckim fotelu. Filip pochłaniał ją wzrokiem. Ta Teresa, którą widział w tej chwili przed sobą, jakoś wielce różniła się od dawnej. To jakby nie ta kobieta, od której pewnego dnia odszedł, kiedy w tajemniczej czarze zachwyty miłosnych zabrakło ostatniej kropki.

— Spróbujmy rozmawiać — zadrwiła subtelnie — to będzie może trochę niezręcznie... Można wszakże spróbować. Pan walczył na froncie?

— Tak, pani.

— Był pan ranny?

— Tak jest.

— A co pan robi obecnie?

— Pracuję w fabryce samolotów pod kierownictwem hrabiego Rougeterre.

Dobre kierownictwo. To człowiek ze wszechmiar godny szacunku. A tak mało na świecie jest ludzi, którzy naprawdę zasługują na szacunek. Znam takich coś sześciu czy siedmiu... A zresztą...

Machnęła ręką ze zniechęceniem.

— A pani... czy szanuje siebie samą? — rzucił Filip śmiałe pytanie.

— Nie wiem... ja jeszcze szukam siebie...

— To początek. Ci, którzy sami siebie szukają, to wybrańcy.

Nie odpowiedziała. Przez chwilę siedziała w milczeniu zadumana.

Długi rekaw jej szarej, aksamitnej sukni spływał po twardej poręczy fotelu.

Młoda kobieta odrzuciła głowę nieco w tył, uwydatniając piękność smukłej szyi.

Olbryzmie włosy lśniły jak jezioro w gwiazdzista noc.

Filip wpiął w nią wzrok chciwy, ukradkowy. Ogarniało go jakieś oszłomienie bolesne, lecz i upojne.

Wszystko, co było w nim siłą, młodością, chciało zapomnieć o życiu gorzkości.

— Nic właściwie nie powiedzieliśmy, a jednak rozmowa jakoś idzie — zauważyła młoda gospodyni — pierwsze lody przełamane. Wie pan, tak mi się zdaje, że pan musiał walczyć dzielnie.

— Walczyć dzielnie... — powtórzył. — Czy to się tak nazywa... Bo ja wiem... Wojna, to jest coś, niby olbryzmia kaźnia tortur. Sądzę, że prawdziwem bohaterstwem w niej jest cierpieć z poddaniem.

— Tak, tak, pan ma słusność. O! nasi biedni żołnierze!...

Była rozrzuwniona.

— Pan bardzo cierpiał?

— Drobnostka.. jakieś kilka tygodni. Zresztą ja się jeszcze nie wyrzekłem walki.

— To pięknie! — zawołała z zapalem.

Przerwa. Filip zdecydował, że nadużywa gościnności Teresy i podniósł się.

Poczem nieśmiało, prawie błagalnie zapytał: — Czy pani pozwoli odwiedzić się jeszcze kiedy?

— Owszem. Jestem codziennie w domu, jeszcze przez ten miesiąc. A potem, niestety, muszę jechać do Chili. Mam tam ważne sprawy do załatwienia. Moja matka była Chilijką.

Podala mu rękę. Była to mała ręka, ciepła i pełna życia, która drgnęła lekko w dłoni młodego gościa.

(Ciąg dalszy nastąpi).